

*Piotr Gutowski**
Wydział Filozofii
Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II, Lublin

O gwiazdach naukowych, o naukowej klasie średniej i o znaczeniu poczucia sprawiedliwości wśród uczonych

Abstrakt. Poniższe refleksje są owocem mojego przyglądania się temu, jak wygląda zarządzanie polską nauką z perspektywy przewodniczącego Komitetu Nauk Filozoficznych PAN, członka Komitetu Polityki Naukowej przy Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, oraz szeregowego uczestnika polskiego życia naukowego. Jest to doświadczenie ograniczone perspektywą dyscypliny, którą uprawiam, a więc perspektywy humanisty-filozofa.

Słowa kluczowe: gwiazdy naukowe, naukowa klasa średnia, sprawiedliwość wśród uczonych

Of celebrities in scientific research, of the science middle class and the importance of the sense of fairness among scholars

Abstract. These reflections are the fruit of my of looking at this, it looks like management science from the perspective of Polish chairman of the Philosophical Academy of Sciences, member of the Committee of Science Policy at the Ministry of Science and Higher Education, and the serial participant Polish academic life. It is an experience limited perspective of the discipline that cultivate, and so the perspective of humanist-philosopher.

Keywords: science celebrities, science middle class, fairness in science

Poniższe refleksje są owocem mojego przyglądania się temu, jak wygląda zarządzanie polską nauką z perspektywy przewodniczącego Komitetu Nauk Filozoficznych PAN, członka Komitetu Polityki Naukowej przy Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, oraz szeregowego uczestnika polskiego życia naukowego. Jest to doświadczenie ograniczone perspektywą dyscypliny, którą uprawiam, a więc perspektywy humanisty-filozofa.

Zacznę od uwagi na temat celu, jaki politycy postawili nauce i szkolnictwu wyższemu. Ma nim być podwyższenie poziomu badań i dydaktyki, które powinno wyrazić się m.in. w podniesieniu pozycji polskiej nauki w nauce światowej. Nie ulega wątpliwości, że w przypadku takiego kraju jak Polska, ambicja ta jest jak najbardziej usprawiedliwiona. Pozostaje pytanie, jak dokładniej ten cel określić, za pomocą jakich wskaźników mierzyć jego realizację oraz jakie środki zastosować, aby go osiągnąć. Pomijam tu pierwsze dwie kwestie, skoncentruję się na trzeciej

* Adres do korespondencji: Wydział Filozofii KUL, Al. Racławickie 14, 20-950 Lublin, e-mail: gutowski@kul.lublin.pl

i to wyłącznie w obszarze nauki a nie szkolnictwa wyższego – jego jakość zależy bowiem w znacznej mierze od jakości nauki.

Generalnie rzecz ujmując, sprawa wydaje się prosta. Aby podnieść poziom polskiej nauki trzeba promować coś, co można określić jako doskonałość naukową i oraz tępic wszelką naukową miernotę. Promować, to znaczy starać się doprowadzić do tego, aby o kształcie badań decydowali najlepsi uczeni i najlepsze jednostki naukowe, aby do nich skierowany był największy strumień (ograniczonego przecięż) finansowania i aby najzdolniejsi studenci mieli możliwość rozwoju w tych właśnie jednostkach i pod okiem tych uczonych. Z politycznego punktu widzenia rozsądniejsze wydaje się położenie nacisku na *promowanie* tego, co najlepsze niż tępienie słabeuszy – tym ostatnim lepiej jest po prostu pozwolić w naturalny sposób dokonać żywota naukowego lub przedłużyć egzystencję minimalnymi środkami.

Biorąc pod uwagę sytuację nauki i szkolnictwa wyższego w Polsce, a więc nadmierną liczbę słabych uczelni, zmniejszającą się liczbę studentów, starzejące się kadry, ograniczone środki finansowe przy drożących badaniach naukowych i konserwatywne środowiska naukowe, które słabo tolerują wszelkie zmiany, główny pomysł ministrów Nauki i Szkolnictwa Wyższego w rządzie PO-PSL polegał, jak się wydaje, na *szybkim i jak najszybszym* implementowaniu sprawdzonych poza Polską wzorców w szkolnictwie wyższym oraz na wyodrębnieniu najlepszych uczonych i jednostek naukowych, które miały pociągnąć za sobą wszystkich pozostałych.

Odwołując się do starej Arystotelesowskiej koncepcji przyczyn (wyróżniał on przyczyny sprawcze, materialne, formalne, celowe i niekiedy też wzorcze), można powiedzieć, że reformowanie nauki miało polegać głównie na postawieniu przed polskimi uczonymi, jednostkami naukowymi i naukowo-dydaktycznymi pewnego celu i wyodrębnieniu aktualnych wzorców osobowych i instytucjonalnych oraz premiowanie wszystkich, którzy do owego celu dążą i zbliżają się do tych wzorców. Pomysł ten wydaje się naturalny, rozsądny i realizowalny. Trochę żartobliwie można powiedzieć, że polega on na wyodrębnieniu naukowych „gwiazd” (zarówno wśród uczonych jak i jednostek naukowych), które jak Arystotelesowski bóg pociągną ku sobie najambitniejszych i zarazem ujawnią mizериę najsłabszych ogniw w łańcuchu polskiej nauki. Jak wiadomo, dotychczasowe mechanizmy awansu naukowego, zróżnicowania wynagrodzeń uczonych i finansowania uczelni i jednostek badawczych nie spełniały tej roli.

Zróbmy krótkie interludium. Dokonywanie zmian w pewnej grupie społecznej polegające na nakierowaniu jej na „gwiazdy” jest dziś dość częstym zjawiskiem, a najlepiej widać to w sporcie, w dziedzinie muzyki czy w mediach. Trzeba jednak wyróżnić przynajmniej dwa sposoby stawania się gwiazdami: przez ciężką, rzetelną pracę wspomaganą naturalnymi talentami (i zawsze także łutem szczęścia) oraz innymi sposobami, np. przez arbitralną nominację czy nieuczciwe wspomaganie.

Przykładem drugiego sposobu wprowadzenia danej osoby czy instytucji na firmament niebieski są różne postaci medialne, które nominowano do statusu gwiazdy, aby zaspokoić społeczną potrzebę, o której wspomniałem. Są to często – jak wiemy – osoby zupełnie prymitywne, które – gdy się zużyją – zastępowane są innymi tylko dlatego, że publiczność oczekuje, aby opustoszałe miejsce w gwiazdozbiorze zostało jak najszybciej wypełnione. Są to też osoby, które stosują niedozwolony doping (np. w sporcie) lub korzystają z ustawionych „pod nie” kryteriów oceny i dzięki temu zyskują tak wielką przewagę nad konkurentami, że nabierają statusu gwiazd. To samo dotyczy oczywiście instytucji. Te też niekiedy stają się gwiazdami w nierzetelny sposób, takimi Amber Goldami, które można by określić mianem gwiazd sztucznych lub spadających.

W zarządzaniu poprzez „sięganie do gwiazd” znaczenie ma wiele rzeczy, m.in. czas, w którym gwiazdy pragniemy wyodrębnić i stosunek do „klasy średniej” danego obszaru. Zbyt pospieszne wyłanianie gwiazd może doprowadzić do tego, że wzorcami do naśladowania staną się osoby i instytucje przypadkowe, które na to nie zasługują. A w typie zarządzania, o którym mówię, nie ma nic gorszego niż nakierowanie danej społeczności do podążania za gwiazdami fałszywymi. Rodzi to bowiem zrozumiałą frustrację „klasy średniej”, a więc tej, która ku gwiazdom ma sięgać. Jej członkowie mają zwykle zdolność rozpoznania takiej patologicznej sytuacji i stosowania wielorakiej obstrukcji wobec działań, które uważają za niesprawiedliwe.

W zarządzaniu polską nauką w latach minionych doprowadzono do wyłonienia się autentycznych gwiazd, ale nie uniknięto wielorakich patologii, które związane były z tworzeniem gwiazdozbioru przez nominację i nieuczciwie wspomaganie. Pisząc o wyodrębnianiu naukowych gwiazd (jednostek i instytucji) przez nominację, nie mam oczywiście na myśli decyzji, których arbitralność jest *bezpośrednio* widoczna. Taka nominacja odbywa się przez zobiektywizowane, czy raczej odpersonalizowane kryteria ewaluacyjne, które jednych właśnie do roli gwiazd podnoszą a innych eliminują czy – zgodnie z zaproponowaną metaforą – „uziemiają”. Nieprzypadkowo więc dzisiaj o tych kryteriach tak dużo się dyskutuje, bo od nich zależy często naukowy i finansowy byt lub niebyt ludzi bądź instytucji. Decydują one o punktacji publikacji naukowych, liczbie i prestiżu uzyskiwania grantów, kategorii parametryzacyjnej jednostki naukowej, o promowaniu lub powstrzymaniu badań w pewnych dyscyplinach lub obszarach geograficznych itp. Od kilku już lat uczeni, niekiedy nawet wybitni, których czas jest szczególnie cenny, poświęcają wiele energii owym kryteriom: ich opracowywaniu, krytyce, implementacji i korektom.

Nie chcę powiedzieć – raz jeszcze to podkreślam – że wspomniane kryteria służą wyłącznie czy nawet głównie nominacji *sztucznych* gwiazd, ale niekiedy tak właśnie jest. Przykładem może być oparcie kategoryzacji wszystkich czasopism naukowych (w poprzedniej edycji ewaluacji) wyłącznie na kryteriach bibliome-

trycznych i formalnych. Doprowadziło to do tego, że w obrębie szeroko pojętej humanistyki nie tylko zdezakowano rolę monografii naukowych względem artykułów, ale w rankingu czasopism na tzw. liście B pojawiły się czasopisma zupełnie nowe (kilkuletnie), które zadeklarowały spełnienie owych kryteriów w większym stopniu niż wiele czasopism o ustalonym prestiżu w poszczególnych dyscyplinach. I uzyskiwały od nich wyższą punktację, czyli – w proponowanej terminologii – zajęły miejsce gwiazd. Okazało się jednak, że zespół ministerialny odpowiedzialny za ocenę czasopism nie sprawdzał (bo nie miał do tego prawnego umocowania, ani odpowiednich środków), w jakim zakresie deklaracje złożone przez redaktorów czasopism są spełnione, i – co gorsza – nie dokonał analizy sensowności nałożonych kryteriów (np. wymogu posiadania strony internetowej czy międzynarodowej rady naukowej). W efekcie wygrali ci, którzy w ankietach zdecydowali się na „naciągnięcie” stopnia spełnienia nałożonych kryteriów, lub ci, którzy z zimną krwią je spełnili, choć mieli świadomość, że nie mają one żadnego znaczenia dla naukowej jakości czasopisma. To budziło poczucie niesprawiedliwości i psuło naukę.

Efektom ubocznym tego procesu była bowiem promocja „naciągania” czy – powiedzmy to wprost – kłamstwa, które eufemistycznie można nazwać zapobiegliwością. Była nim też strata energii uczonych, poświęcanej na spełnianie absurdalnych wymogów i nakierowanie autorów, zwłaszcza młodych – którzy przecież umieją liczyć punkty, za które sami są oceniani – na często fałszywe „gwiazdy” w świecie naukowych czasopism. Takie czasopisma nie stymulowały do podnoszenia ściśle naukowej wartości tekstów, ale były dostarczycielami punktów. Nie jest tajemnicą, że niektóre z nich powstały wyłącznie w celu dostarczania punktów ich autorom, a niekiedy też niezłego dochodu wydającym je firmom, zainteresowanym nauką tylko nominalnie. Firmy te organizują niekiedy wielkie konferencje reklamowane jako „interdyscyplinarne” (ale w praktyce jedynym kryterium uczestnictwa jest dokonanie odpowiednich opłat), które poprzedzają publikacje poszczególnych numerów czasopisma. W ten sposób czasopisma naprawdę dobre i wymagające odpowiedniego poziomu naukowego zostały postawione na równi z tymi nowymi i przestały kształtować kulturę naukową w swoich dyscyplinach.

Tego rodzaju błędy zdarzały się nie tylko w odniesieniu do czasopism z najmniej prestiżowej listy B, ale – przynajmniej w obrębie humanistyki – także do czasopism z listy A i C. Ta ostatnia lista jest zresztą najlepszym przykładem kreowania gwiazd „przez nominację” przyznawaną za znalezienie się na liście ERIH, która – o czym zespół oceniający dobrze wiedział – nie służyła do oceny naukowej jakości czasopism. Sytuację pogarszała niechęć kierownictwa tego zespołu do uwzględniania korekt proponowanych przez nadzwyczaj liczne osoby i instytucje odwołujące się od powziętych decyzji. Duża liczba tych odwołań była zrozumiała, bo od przyznanych punktów zależał nie tylko los czasopism, ale też pozycja poszczególnych instytucji naukowych i poszczególnych uczonych. Czy dało się uniknąć takich

patologii? Pewnie wszystkich się nie dało, ale mam wrażenie, że lepszy dobór ludzi do odpowiednich gremiów mógłby zapobiec wielu z nich.

Kierownictwo MNiSW w rządzie PO-PSL forsowało także pomysł jak najszybszego wyłonienia wzorcowych jednostek naukowych. Dopóki celem rankingu nie było wyłonienie jednej lub co najwyżej kilku gwiazd w poszczególnych dyscyplinach (posiadających ocenę A+) środowisko naukowe było w stanie to zaakceptować. Wyłonienie instytucjonalnych „gwiazd” wzbudziło natychmiast liczne kontrowersje. Nie wynikały one bynajmniej ze zwykłej zazdrości. U ich podłoża tkwiło znów poczucie niesprawiedliwości, bo dostanie się do zbioru najjaśniejszych gwiazd zależało nie tylko od jakości naukowej danej jednostki, ale także od przypadkowych czynników, takich jak np. znalezienie się w takiej a nie innej grupie wspólnej oceny.

Jeszcze większe kontrowersje wzbudziły niezrealizowane ostatecznie plany wyłonienia kilku najlepszych uczelni (tzw. uczelni flagowych), w których – tego nie mówiono zbyt głośno – skoncentrowana byłaby lwią część publicznych środków finansowych przeznaczonych na naukę. Z punktu widzenia ograniczonych funduszy na coraz droższe badania naukowe taki plan wydawał się słuszny. Jest jednak rzeczą charakterystyczną, że od potencjalnych uczelni flagowych nie wymagano bolesnych reform jako warunku dostania się na firmament niebieski. Koszty tego procesu miały ponieść głównie uczelnie pozostałe, które w większości musiałyby zadowolić się statusem uczelni dydaktycznych i albo ulec likwidacji, albo radykalnie się przekształcić np. przez połączenie się z innymi uczelniami (w celu zmniejszenia kosztów). Takie plany znowu budziły poczucie niesprawiedliwości w środowisku naukowym.

Dla każdego, kto obserwuje zmiany w polskiej nauce i szkolnictwie wyższym było bowiem rzeczą oczywistą, że potencjalne uczelnie flagowe są wielkimi molochami, kombinatami dydaktycznymi, które korzystają z usytuowania w wielkich metropoliach przyciągających młodzież ze względu na możliwości znalezienia pracy. Korzystają też z faktu, że dofinansowanie uczelni uzależnione było głównie od liczby studentów. Gdyby wyłonienie uczelni flagowych zostało obwarowane koniecznością zamknięcia przez nie podwójnych, a czasem potrójnych studiów w tej samej dyscyplinie, zmniejszeniem liczby studentów o połowę (aby skoncentrować się na nauce a nie dydaktyce), zwolnieniem pracowników naukowo miernych i umożliwieniem zatrudnienia w nich najlepszym uczonym z innych uczelni, wówczas wątpliwości środowiska naukowego byłyby rozwiane. Takie odchudzenie spowodowałoby, że w naturalny sposób uczelnie te „uniosłyby się” na nieboskłon. Z planów MNiSW wynikało jednak, że koszty wyniesienia na firmament niebieski kilku uczelni poniosą wyłącznie uczelnie pozametropolitalne, które mają zostać poddane bolesnym przekształceniom.

Zarządaniu przez „sięganie do gwiazd” można przeciwstawić zarządzanie polegające na zbudowaniu mocnej naukowej klasy średniej z nadzieją, że w dłuż-

szym czasie wyłoni ona z siebie osoby i instytucje zdolne do konkurowania z najlepszymi na świecie. Jeżeli startujemy z niskiego pułapu, kluczowa jest tu cierpliwość i konsekwencja. Zbyt wysokie ambicje i pośpiech mogą tylko zaszkodzić. Owszem, w niektórych dziedzinach da się zbudować międzynarodową pozycję bardzo szybko, ale nauka do nich nie należy – najbardziej prestiżowe instytucje pracowały na to przez długi czas, wspierane finansowo i organizacyjnie przez rządy, biznes prywatny i odpowiednie ustawodawstwo.

Zdaje się, że w tę stronę idzie MNiSW kierowane od 2015 r. przez PiS. W praktyce będzie to pewnie polegało na zwiększeniu znaczenia fundacji statutowej w budżetach uczelni, na spłaszczeniu skali ocen punktowych w rankingach czasopism, grantach itd. na zwiększeniu liczby finansowanych grantów kosztem ich wysokości, na dowartościowaniu znaczenia uczelni pozametropolitalnych jako ważnych ośrodków kultury. Sądzę, że obecnie potrzebna jest taka korekta.

Zagrożenia związane z nowym spojrzeniem na polską naukę i szkolnictwo wyższe są oczywiste, bo może ono doprowadzić do promocji średniactwa i prób zachowania przez jednostki naukowe i uczonych *status quo*. Tymczasem Polska musi doprowadzić do podniesienia poziomu nauki i szkolnictwa wyższego, aby jej aspiracje gospodarcze i polityczne miały szansę powodzenia. Gdyby więc nawet było to bolesne dla środowiska naukowego, musimy dążyć do umiędzynarodowienia polskiej nauki, do podniesienia jakości badań i dydaktyki. Musimy też starać się wyodrębnić naukowe gwiazdy – zarówno na poziomie poszczególnych uczonych jak i na poziomie instytucjonalnym. Być może trzeba będzie także zdecydować się na trudny wybór pewnych strategicznych obszarów nauki, które będziemy rozwijać kosztem innych. Nie może to jednak odbywać się przez pochopną „nominację” przy użyciu wątpliwych kryteriów lub przez nieuczciwy doping. Jestem przekonany, że głównym powodem kontestacji reform przez środowisko naukowe nie był ich bolesny charakter, ale to że postrzegano je jako pospieszne, nieprzemyślane i przede wszystkim niesprawiedliwe. Należy więc życzyć nowemu kierownictwu MNiSW, aby w trakcie dalszych reform bardziej dbało o poczucie sprawiedliwości w środowisku uczonych, dowartościowało naukową „klasę średnią” oraz w bardziej przemyślany sposób wskazywało osobowe i instytucjonalne wzorce do naśladowania.